

Żniwa

21 sierpnia 2017

To było dawno, w epoce życia szczęśliwego. Wprowadziliśmy się do nowego domu w Gołąbkach. Budynek w stanie surowym, pracowali jeszcze murarze. Abym nie przeszkadzał, ojciec postanowił wywieźć mnie do rodziny na wieś.



Na stacji w Żychlinie czekał na nas stryjek Franek bryczką, zaprzęzoną w dwójkę koni. Jechało się wygodnie jak karetą. Kawałek od poznańskiej szosy, w miejscu gdzie stała kapliczka Matki Boskiej, zaczynał się Ernestynów. Otwarta brama zapraszała w gościnę. Serdecznie wita nas babcia i dziadek, ciocia Frania i dzieciaki.

Pogodne lato. Lekki wiatr kołysze dojrzewające zboże. Cudowny, złoty ocean falujący miarowo, a wraz z nim lazurowe wyspy chabrów i płonących czerwienią maków. Zaczęły się żniwa. Szast, szast i mleczone źdźbła kładły się równo pokotem, by zaraz sprawnie zebrane, związane liną powróśla, stanąć w zwartym szeregu mendla. Teraz blond czupryna kłosów, mogła dosychać w słońcu gorącego lata. Co jakiś czas żniwiarz stawał wyprostowany i wyciągniętą zza paska osełką ostrzył kosę. Miarowe, metaliczne szurnięcia mieszały się ze śmiechem, lub śpiewem pracujących ludzi.

Jako sześćioletni brzdąc, nie miałem nic do roboty. Chodziłem po polu i obserwowałem nieznany dotąd świat. Rżysko kuło w stopy, a ja wdychałem cudowny zapach ściętego, dojrzałego zboża. Stąd rozpościerał się widok na całą wieś. Oto rząd stodół, które rozsiadły się jak baby w grubych, słomianych sukniach strzech. Z dala lśniły soczystą zielenią liście drzew osłaniających gospodarstwa od wichrów, dając ukojenie ludziom i zwierzętom w chłodzie cienia.

Co jakiś czas w kierunku wsi, wyruszał wóz drabiniasty naładowany snopami. Płynął jak złocisty okręt wśród falujących łąnów. Skrzypiał i bujał się lekko na wybojach polnej drogi, by zniknąć w paszczy stodoły. Po godzinie pojawiał się znowu. Teraz pusty i lekki gnał radośnie, ciągniony przez dwójkę dziarskich koni, hurkocząc po kamieniach. A woźnica stojąc w rozkroku jak Rzymianin na bojowym rydwanie ścigał się z wiatrem, by po krótkiej, szalonej jeździe, skrócić na ściernisko. I znowu pracowite dłonie ładowały snopy i mały wóz zamieniał się w stertę słomianego złota zmierzającą do wciąż głodnej stodoły.

Kiedy słońce przestało palić i wędrowało z wolna ku zachodowi, na drodze pojawiała się drobna sylwetka, która przesuwiała się wolniutko od strony wsi. To babcia niosła żniwiarzom podwieczorek. Oto pękaty dzban z kawą zbożową zabielaną mlekiem i kosz wyłożony bielusienką, wykrochmaloną serwetą. W ściereczce zawinięty chleb. Pyszny, prawdziwy chleb, zawsze świeży, choć wypiekany raz w miesiącu. W drugiej ściereczce ser o niepowtarzalnym, wykwinnym smaku. I masło. Prawdziwe, świeżutkie, silnie pachnące... masłem. I jeszcze pyszne ciasto drożdżowe i konfitury. Jeszcze króciutka modlitwa i można zabrać się do uczty.

Te podwieczorki pod dziką gruszą na miedzy, wśród aromatów złocistych łąnów, śpiewających polnych ptaków i bzyczenia owadów, były najbardziej wytwornymi, jakie kiedykolwiek jadłem. A apetytu dodawał jeszcze pełen miłości uśmiech i babcine błogosławieństwo.

Mijały dni. Wreszcie przepełnione stodoły, nie mogły przyjąć już więcej snopów. Urodzaj. Resztę plonów trzeba było składać w stogach.

Któregoś popołudnia, gdy żniwa dobiegały końca, niebo pociemniało od zachodu. Zbliżała się wielka chmura. Najpierw szara, lekko przymglona, wyglądała jak śpieszące ku wiosce, potężne, siniejące w oddali szczyty Tatr. Teraz ciemniała szybko i wydawała groźne pomruki chcąc wystraszyć słońce, które jakby na zapas zaczęło przypiekać mocniej, jeszcze mocniej niż w południe.

Rolnicy, jak niegdyś marynarze na statku zwijający żagle przed sztormem, zbierali pośpiesznie co mogli z pól, zgarniali niespokojne krowy z pastwisk i szybko zaprowadzali do bezpiecznych obór.

Przez moment kolory świata nabrały ostrości. Zieleń olszyn pod Odolinem i czerwień dachówek na tle ciemnogrnatowej chmury i złoto stogów ustawionych jak babki z piasku, a nawet pióra dumnego koguta, który pieniem zwoływał kury do jaskrawo bielejącego kurnika, gdy zgasło słońce i na dworze pociemniało. Gwałtowny podmuch wiatru uniósł z podwórka tuman kurzu, zdźbła słomy, jakieś papiery. Zawirował i ucichł. W pewnym momencie niebo rozświeciła błyskawica i rozległ się potężny grzmot, potem drugi. Teraz wiatr zerwał się na dobre i lunął deszcz. Konary drzew wygiętych do samej ziemi, oddawały pokłon żywiołowi.

Siedzieliśmy w letniaku. Ogień pod kuchnią rwał do komina wciągany wichurą. W oknie postawiono gromnicę. Nasza ukochana babcia uklękła i zaczęła modlić się do św. Floriana, by uchronił wieś przed pożarem. Była bardzo pobożna. Codziennie patrzyłem, jak w jej pooranych ciemnymi bruzdami, spracowanych palcach, przesuwają się wolniutko koraliki różańca.

Burza była gwałtowna. Opętany szaleństwem wichur połamiał gałęzie, niebo jaśniało tysiącem błyskawic, a wszystko trzęsło

się i drżało od ciągłego grzmotu piorunów. I nagle ucichło. Znowu zaświeciło słońce, a ziemia została nagrodzona przez Jubilera Świata milionem brylantów rozsianych rosą po trawie.

Tego dnia już nikt nie wyszedł w pole. Szczęśliwi ludzie dziękowali Bogu, że zdążyli zwieźć swoje plony przed nawałnicą. Było cicho i spokojnie. Gdzieś muczała krowa, zaszczekał pies. Zachodzące słońce rozlało swą purpurę nad ścierniskami, a korale jarzębiny, czerwiejsze niż zwykle, przypominały o nadchodzącym końcu lata.

Kiedy rolnicy zakończyli obrządek i wieczorny udój, księżyc rozświetlił swym metalicznym blaskiem sufit świata. Zamigotały gwiazdy wsłuchane w cykanie tysięcy świerszczy i cichy szum liści poruszanych lekkim zefirkiem. Cudowna filharmonia natury, utulała wieś do snu.

To taki obrazek z roku 1959. Chciałbym dodać, że po żniwach, zazwyczaj w jedną z wrześniowych niedziel, w większych wioskach odbywały się dożynki. To ludowe Święto Plonów, typowo słowiańskie, w Polsce szczególnie uroczyste i pięknie obchodzone. Dożynki zaczynały się mszą dziękczynną za plony, po której odbywała się część oficjalna powiązana z pięknymi zwyczajami ludowymi, a wieczorem kończyły się zabawą przy muzyce ludowej, która była elementem naszego wspaniałego folkloru.

Współczesne dożynki mają miejsce w gminach. Część oficjalna to bredzenie o „zdobyczach cywilizacyjnych”, dopłatach, (70 % niższych niż otrzymuje rolnik niemiecki czy francuski) a wszystko dzięki masońskiej Unii Europejskiej, dzięki której polski rolnik jest szczęśliwy. Dożynki kończą się dyskoteką przy podrygach nachlanych, lub naćpanych uczestników, w rytm barbarzyńskiego łomotu satanistycznej „muzyki”.

Istotnie, wieś została zmechanizowana, ale fakt ten zwielokrotnił koszty produkcji. Ceny maszyn są jak na Zachodzie, a ceny skupu uwłaczające godności ludzkiej. Paliwo

droższe niż w innych krajach. Dziś, aby kupić zagraniczny ciągnik, lub inną maszynę, rolnik musi wziąć kredyt z żydowskiego banku na lichwiarski procent. Prawie każde gospodarstwo rolne jest zadłużone. Wielu rolników nie może udźwignąć ciężaru lichwy, a przede wszystkim bandyckich odsetek i gospodarstwo przejmuje bank. Wtedy rolnik zmienia zawód i zostaje żebrakiem, a jeśli jest młody, szuka szczęścia na emigracji. Podczas gdy w opisywanym przeze mnie okresie pracę rolnika szanowano i to bardzo, a jego praca była opłacalna, tak teraz najczęściej koszty produkcji są wyższe od cen skupu. Kiedyś rolnik uprawiał i hodował to, co było dla niego najbardziej opłacalne. Mógł hodować zwierzęta jakie chciał i ile chciał, teraz jego uprawy są szpiegowane przez system satelitarny, a zwierzęta czipowane. Jeśli nie zgłosi w odpowiednim czasie narodzin cielaka, grozi mu odebranie dopłat. Takiej inwigilacji i totalitaryzmu na polskiej wsi nie było w historii naszych dziejów, nawet w okresie okupacji hitlerowskiej. Polski rolnik, na własnej ziemi, stał się niewolnikiem bardziej zniewolonym i upodlonym niż w czasach pańszczyzny, a posłowie i rządzący nazywają ich zwyczajnie – chamami. To określenie nie raz słyszałem w Sejmie. A eurodebile śpiewają „Odeę do radości”!

Wynikiem żydo-masońskich działań, jest masowe wywłaszczanie rolników. Widziałem całe duże wyludnione wsie. Nie tylko na wschodzie Polski, ale i w centrum. Taka sytuacja ma miejsce na zachodnich obrzeżach Puszczy Kampinoskiej i nie tylko. Oto wieś Smolarnia w okolicach Radziwiłowa k. Skierniewic. Cisza. Nie słychać szczekania psów, muczenia krów, tylko wiatr świszcze między całkiem dobrymi budynkami. Drzwi i okna domów, podobnie sklepu, gdzie tętniło niegdyś życie, zabite deskami, a wokół ugory na których rosną już dorodne brzozy i jakieś krzewy. Jak w okolicach Czarnobyla. Różnica między tymi opuszczonymi wioskami jest tylko taka, że w Czarnobylu była katastrofa atomowa, a w Polsce mamy katastrofę Unii Europejskiej. I jeszcze jedno: Starzy ludzie z okolic Czarnobyla wracają, by jako wolni ludzie umrzeć na swojej

ziemi. U nas starzy ludzie umierają zatruci żywnością i trucizną zrzucaną z samolotów na cały kraj (patrz chemtrails, lub smugi chemiczne). Ale ścigani przez Urzędy Skarbowe, banki, bandyckie „firmy” windykacyjne i bezlitosnych, ateistycznych, szubrawych komorników, nie umierają jako wolni ludzie. Tak w Polsce, wcześniej czy później na ziemiach opuszczonych przez wyżyłowanych rolników powstaną kibuce. I produkcja rolna będzie się opłacała! Z podatków, z naszej krwawicy będą takie dotacje, że członek kibucu osiągnie zarobki ministerialnych urzędasów!

A jak wyglądają żniwa dziś? Dziś pan Mundek wsiada na kombajn i szybko goli areał. Praca jest lżejsza niż za czasów tow. Gomułki, ale wielokrotnie droższa, bo utrzymanie konia kosztowało grosze i pasza dla niego była z własnego pola bez watu i akcyzy. Teraz kombajn kosztuje tyle co kilkadziesiąt koni pociągowych, a paliwo trzeba kupić z VAY-em i akcyzą, które stale rosną, bo współczesne rządy nie znają umiaru. Na podwieczorek pan Mundek zje parówki, w których nie ma mięsa, za to nasycone różnymi rakotwórczymi „E”, „C” i innymi świństwami. Przegryzie chlebem nafaszerowanym pogarszaczami i popije piwem, w którym zamiast chmielu jest zwierzęca żółć, albo wiklina – to (nowoczesne technologie) stosowane w celu upodobnienia „piwa” do piwa. Niestety rolnicy coraz rzadziej produkują żywność domowymi sposobami, tylko kupują zatrutą w hipermarketach należących do obcych. Dlaczego? Oni po prostu nie mają czasu, mają go mniej niż na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Bo kiedyś konia nie trzeba było reperować, a maszyny – im nowocześniejsza, tym szybciej się psuje. Nie stać rolnika na reperację w specjalistycznych zakładach, naprawia więc sam. A to zajęcie bardzo pracochłonne. Kiedyś rolnik jechał ze swoimi płodami do punktu skupu i swoje płody sprzedawał od ręki i za godziwą cenę. A dziś ma problemy ze sprzedażą, bo rząd pozwala na sprowadzanie najgorszej jakości płodów z zagranicy. Na przykład pod młynem w Szymanowie, rolnicy czekają w kolejce po kilka dni i nocy, aby sprzedać zboże i nie zawsze zapłata pokrywa nakłady w

uzyskanie plonu.

Ludzie mówią, że w rządzie są barany, brak jest gospodarza. Naprawdę? Wszyscy premierzy i ministrowie w ciągu 26 lat to debile? Nie, to celowa polityka, mająca na celu zniszczenie polskiego rolnictwa. Najpierw sukcesywnie i z wielką starannością niszczyli polski przemysł. A kiedy ta zbrodnicza robota została wykonana, z uporem niszczą rolnictwo i rugują chłopa z ziemi, którą uprawiał w znoju od dziesiątków pokoleń! I to nie jest problem tylko rolników. To żywotna sprawa każdego Polaka!

I jeszcze jedno: Do 1989 r. nikt nie słyszał o niedożywionych dzieciach na wsi, a dziś to plaga. Ale czasy!

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Zdjęcie: [horjaraul](#) (CC0)

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com